



Ks. Franciszek Krzyżak CM¹

IN NOMINE DOMINI²

NIE NAM LECZ IMIENIOWI TWOJEMU PANIE DAJ CHWAŁĘ

CZ. 2

Moją pierwszą placówką razem z ks. Skowyrą było Ku-Lu, miasto położone na piaskach, i jak każde chińskie miasto otoczone murami. Piaski miały bardzo dużo saletry, więc woda w tych okolicach była gorzko-słona. Tam byłem jeden rok na praktyce, a potem po roku, już mi dano samodzielną placówkę w Chang-Ku-che – najwięcej wysunięta placówka na wschód od Shun-Teh-Fu, też na piaskach. W tej miejscowości było dużo moreli. Tam pracowałem rok, czy dwa lata. Wiem, że potem przyszedł ks. Arciszewski, aby mi pomóc, a mnie przeniesiono potem w góry, do jednej z najcięższych placówek misyjnych. W górach była biedota. Tam można było się dostać konno lub pieszo. Więc miałem tam konia, którego mi zostawił poprzednik ksiądz Chińczyk. Stary koń mongolski, ale znał wszystkie drogi, wszystkie przejścia, znał drogę do każdej placówki obwodowej. Tak, że jak nie znałem drogi, to puszczałem mu lejce i jechałem zawsze tam gdzie miało być. Raz zaszedł w miejsce, z którego kaplicę przenieśli gdzie indziej. Ja patrzę: a tu pusto. Ale zaraz podeszli ludzie i powiedzieli gdzie ona jest. To był dobry koń, szedł ostrożnie. Raz to miałem żal sam do siebie, bo musieliśmy forsować rzekę i mnie się wydawało, że to jest najlepsze miejsce do przejścia, a on nie chciał tam w to miejsce wejść. Okazało się, że jest tam grząski grunt. Więc zmusiłem tego konia. On zaczął tonąć w tym grząskim błocie. Zszedłem z niego, jakoś dostałem się na brzeg i wyciągnąłem go, ale potem cały drżał. I od tej chwili nigdy go nie zmuszałem: „Idź sam, ty znasz drogę”. Gdy niejedną noc zaskoczyła w górach, gdzie są bezdroża i ciężko znaleźć miejsce, puszczałem mu lejce – on zaszedł. No, ale potem nie było dobrego człowieka, który by się nim zajmował. Katechista był troszkę leniwy. Ten koń był niedożywiony, nie napojony. Zachorował i zdechł. Zdechł mi na posterunku, na misjach. Jeszcze był chorym koniem, po jechałem myśląc, że to mu przejdzie, ale tam zdechł. Jak zdechł to ludzie rzucili się na tego trupa i o mało się nie pobili o tę

¹ Ks. Franciszek KRZYŻAK urodził się 18 lutego 1910 r. we wsi Zawada koło Wieliczki Po szkole podstawowej w Zawadzie i Wieliczkce kontynuował naukę w Małym Seminarium Księża Misjonarzy w Krakowie, na Nowej Wsi. Następnie, po czterech latach, wstąpił do Zgromadzenia Księża Misjonarzy Święcenia kapłańskie w 1934 r. W latach 1935 -1951 pracował w misji polskiej prowincji w Chinach oraz w Shuntetu i Wenchow oraz w utworzonej przez amerykańców chińskiej prowincji Zgromadzenia. Od 1951 r w wiceprowincji polskiej w USA (obecnie prowincja Nowej Anglii) do 1960 jako wikariusz w parafii św. Stanisława Kostki na Brooklynie, Nowy Jork. Od 1960 r. do śmierci jako misjonarz ludowy i rekolekcjonista w domu misyjnym w Utica, Nowy Jork. Zmarł 23 marca 1983 w Utica

² Wspomnienia z pracy misyjnej autora na podstawie niemal 4 godzinny wywiadu, nagrywanego na taśmę magnetofonową, udzielonego redakcji miesięcznika kleryków Zgromadzenia Księża Misjonarzy - METEOR - latem 1981 r. Podczas ostatniej wizyty ks. Krzyżaka w Krakowie, na Stradomiu.



波兰在中国遣使使命

padlinę. Obiecali mi tylko dać jedną szynkę i skórę. Skórę zażądałem, mieli dać jedną szynkę, ale ponieważ pobili się przy tym, więc tylko powiedziałem: „Skórę dajcie” i dostałem tylko skórę. Potem sobie kupiłem muła. Mułem jeździłem, ale mi go potem komuniści zabrali. Był dobrym mułem i bardzo lubił śpiew. Lubiał jak się do niego przemawiało. Gdy mówiło się do niego, to on się czuł bardzo dobrze. Ale szczególnie lubił śpiew. Więc, jak wybierałem się w wielkie przestrzenie po dolinach rzek, to śpiewałem. W maju śpiewałem litanie do Matki Boskiej, albo inne pieśni. Szedł wtedy rażno. Ale go potem zabrali. Dobry to był muł.

W górach, w miejscowości Ho-Sia zastała nas wojna japońska. I tego samego roku była olbrzymia powódź w Chinach, tak, że ja byłem odcięty od Shun-Teh-Fu przez trzy miesiące. Dopiero po trzech miesiącach mogłem rzeki sforsować i dojechać do Shun-Teh-Fu. Tam była wojna w całej pełni. Podziwiałem tych ludzi. Dziwiłem się im, że uciekają z miasta przed bombardowaniem japońskim tylko z tym co mają na plecach, małymi tobołkami. Pytam się: „*Dlaczego opuszczacie wszystkie posiadłości i dobra tam w mieście, a uciekacie tutaj w góry*”. A oni mówili tak: „*Jeżeli ocalimy życie to jeszcze możemy się tego dorobić, a jak stracimy życie to stracimy wszystko, to co mamy*”. Po Japończykach, a właściwie razem z Japończykami przyszli równocześnie bandyci i komuniści. Bandyci mnie zastali w górach w Ho-Sia. W sam raz przechadzałem się po śniadaniu i odmawiałem brewiarz na stoku góry. Dwóch, bandytów podeszło do mnie i zażądali pieniędzy jakiegoś okupu. Więc ja im mówię, że pieniędzy nie mam, bo powódź wielka, ja nie mogłem do miasta jechać, a to co miałem wszystko zużyłem. Szukajcie co chcecie, bierzcie co chcecie, ale ja pieniędzy nie mam. No więc oni poszukali, pozabierali co im się podobało. Wzięli moje obuwie, część ubrania, ale pieniędzy nie znaleźli, bo ich nie było, i zażądali okupu ode mnie.

- W jaki sposób ja wam dam. Niemożliwe.
- No to pošlij człowieka do biskupa, niech biskup zbierze pieniądze i przyśle nam okup. My ciebie zatrzymamy tutaj tymczasem, aż otrzymamy okup.

A był układ z biskupem, że jeżeli któryś misjonarz wpadnie w ręce bandytów, będą żądali okupu, to biskup nie będzie płacił. Jeżeli za jednego zapłaci, to będzie musiał płacić za drugiego i za wszystkich. I ani misjonarza nie będzie, ani nie będzie pieniędzy. Więc pierwszy misjonarz musi się poświęcić. Przynależem tym bandytom, że piszę do biskupa o okup, więc napisałem: „Księżę biskupie pamiętam na cośmy się zgodzili. Nie płąćcie ani centa. Przebaczcie mi. Z Panem Bogiem!” I podpisałem się i posłałem tę kartkę przez umyślnego do biskupa do Shun-Teh-Fu. Tam trzeba iść cały dzień. Tymczasem ci bandyci nie wiedzieli tak dokładnie co ze mną zrobić, gdzie mnie ulokować. No i najniespodziewaniej w świecie uratował mnie opiumista. Człowiek z klasy ludzi, którzy są najbardziej pogardzani i najbardziej znienawidzeni w Chinach. Bo opiumista dla zdobycia opium sprzeda wszystko, majątek, sprzeda żonę, sprzeda dzieci, wszystko byle tylko zdobyć opium. Narkoman. Takiego opiumistę raz zatrudniłem do wkładania siatek do okien przeciwko komarom. Nie wiedziałem, że to jest opiumista. I ten człowiek potem widząc, że jestem w rękach bandytów, że bandyci żądają ode mnie okupu 10 tysięcy dolarów (straszna suma), przyszedł do tych bandytów i powiedział: „Bracia, ksiądz nie ma pieniędzy”. Oni na niego popatrzyli, on na nich. Oni też byli opiumistami. Poznali się. Kruk kruka. Kiepkę pozna i przez ścianę, jak mówił Zagłoba. No więc on mówi do nich: „Słuchajcie, ja przed chwilą widziałem bogatego człowieka, który na dwu mułach wioził srebrne pieniądze. Takie wielkie worki, że aż muły uginały się pod tymi pieniędzmi. Gońcie tego bogacza, a księdzu dajcie spokój”. Uwierzyli w to temu opiumiście, ale mówili, że teraz ksiądz ucieknie. Nie ucieknie – powiadają chrześcijanie. Więc zostawili



波兰在中国遣使使命

jednego z tych bandytów jako stróża przy mnie, a dwóch poleciało za tym domniemanym bogatym człowiekiem, który ani tam nie przechodził, ani nie było mułów, ani nie było pieniędzy. Ten opiumista to sfabrykował. I to ocaliło moje życie. Chińczyk jest sprytny. Tego strażnika, który mnie pilnował w mojej misji, tego bandytę, oni zaraz otoczyli, zaczęli z nim rozmawiać i powiedzieli: „Tutaj na dole mamy taki zajazd tam się napijesz herbaty, tam ci zbierzemy troszkę pieniędzy i damy ci z góry. To ci się przyda”. Bandyta uwierzył i szedł na dół. Tam dali mu herbaty i poczęstunek, zebrali troszkę pieniędzy. A tymczasem mi powiedzieli: „Księżę uciekaj i to jak najprędzej, w góry”. Więc ja im powiadani: „Jak ja ucieknę, a oni wrócą i mnie tutaj nie zastaną to spalą mi misję, a tu jest Najświętszy Sakrament”. Ale oni mówią: „Księżę, my sobie damy radę. A ty zabieraj się i uciekaj, ratuj swoje życie”. Więc wziąłem krzyż do jednej ręki, reguły do drugiej ręki, brewiarz pod pachę, koc na plecy i w góry do jaskini. Tam mi usłali, zrobili miejsce na spanie. Tam mi też donosili żywność. Ale pewnego wieczoru tuż nad jaskinią usiadła sowa i zaczęła przeraźliwie wrzeszczeć. Więc ten mój towarzysz ministrant mówi: „Księżę, to zły omen”. *Mnie samemu włosy stanęły na głowie, ale na niego: Co ty będziesz wierzył jeszcze w jakieś gusa*. A sam byłem w strachu. Co za przeraźliwy głos tej sowy w ciszy nocnej. Nad ranem słyszemy jakieś kroki w pobliżu. Ale ustały. Myślałem, że bandyci trafili na mój ślad. Okazało się, że oni po powrocie, jak zobaczyli, że ja uciekłem, chcieli się zemścić na tej wsi i chcieli wziąć innych ludzi na zakładników. Więc ci ludzie, puciekali w moją stronę. A nad ranem, gdy mnie zobaczyli to powiedzieli: „O! No to takie miejsce ksiądz wybrał na kryjówkę”. Ale ponieważ dowiedziałem się, że oni wiedzą gdzie ja jestem, przeniosłem się gdzie indziej. A potem biskup dał rozkaz wycofania się do innej misji. No i pojechałem do sąsiedniej misji, gdzie proboszczem był ks. Kotliński i ks. Skowyra. To była misja starych chrześcijan. Ale bandytów nigdzie nie brakowało. Misja była otoczona murami, jeszcze pamiętającymi prześladowanie bokserów. I coraz więcej uciekinierów gromadziło się w murach tej misji przed bandytami. Bandyci dowiedzieli się, że wszyscy bogaci ludzie z okolicy schronili się do naszej misji i postanowili misję zdobyć. Więc myśmy postanowili bronić się. Mieliśmy karabin maszynowy. On się zacinał, ale jeden żołnierz, który się znał na tym naprawił ten karabin i już potem działał dobrze. Mieliśmy kilka karabinów pamiętających jeszcze czasy napoleońskie. Ale karabin był. Więc postanowiliśmy się bronić. Dach kościoła obstawiliśmy workami, bo wiedzieliśmy, że bandyci już się szykują do walki na naszą misję. Na całe szczęście ks. Skowyra i ks. Kotliński mieli małe motorki, rowery motorowe, półtora konia mechanicznego. Ks. Skowyra wpadł na pomysł i odkręcił tłumik i zapuszczał ten motor od czasu do czasu. Brzmiało jak karabin maszynowy. Drugi rower taki, postawiliśmy w innym kącie, wtedy tym bardziej taki huk ci słyszeli. Mieli nas atakować w nocy. Chrześcijanie wszyscy zebrali się w kościele. O północy ja miałem odprawić mszę św. i rozdać wszystką komunię św., a ks. Skowyra i ks. Kotliński objęli dowództwo nad obrońcami. I zakazał ks. Skowyra stanowczo nie strzelać dopóki oni nie zaczną atakować. Jeden Chińczyk, który miał już na muszce jakiegoś bandytę już chciał strzelać: „Ja ciebie zastrzelę, jak ty strzelisz. Nie strzelać, aż oni zaczną strzelać, wtedy będziemy się bronić. Wtedy my będziemy mieli przewagę, a nie oni”. No i tak wytrzymałyśmy tę noc. Ja mszę odprawiłem. Ks. Skowyra i ks. Kotliński chodzili z tymi karabinami od posterunku do posterunku. Nad ranem chorągiewka u bandytów. Rozejm. Więc ten bandyta przyjął naszą delegację i powiedział tak: „Wiemy, że jesteście mocno uzbrojeni, ale my mamy cennych ludzi. My byśmy i tak was zdobyli. Ale ponieważ ks. Szuniewicz – doktor Szuniewicz uleczył mi oczy, więc ja z wdzięczności za to, że mnie katolicki ksiądz uleczył oczy, ja odstępuję od oblężenia. Zostawiamy was w spokoju. Ale lepiej żebyście tych ludzi rozpędzili, bo my ich tam dostaniemy”. I przyszedł rozkaz od biskupa: „Nie wolno



波兰在中国遣使使命

strzelać”. Nam strzelać zakazano. Nie tylko nie wolno strzelać, ale nie wolno się bronić. Nie wolno robić z kościoła fortecy. Misjonarze mają się wycofać do Shun-Teh-Fu”. Rozkaz jasny. A ci ludzie bogaci, którzy tam się zebrali za żadną cenę nie chcieli tej misji opuścić. A myśmy wiedzieli, że bandyci tych ludzi chcą koniecznie dostać w swoje ręce. Póki my tam będziemy, to oni też tam będą. Kiedyśmy jednak opuścili tę misję we trójkę: ks. Skowyra, ks. Kotliński i ja, pojechaliśmy do Shu Teh Fu, ci ludzie powoli się rozeszli. I opuścili misję, tak, że potem jak wróciliśmy już było w porządku. Ks. Kotliński i ks. Skowyra wrócili potem do swoich misji, a ja wróciłem do Ho-Sia, gdzie mnie bandyci wykurzyli. Już tam byli komuniści. Ale nie przeszkadzali na początku wcale, bo ja miałem przychodnię lekarską. Była użyteczna nie tylko dla Chińczyków, ale i dla rannych żołnierzy. A myśmy ratowali każdego Chińczyka bez względu kim jest. Żołnierze nigdy nie nosili mundurów żołnierskich, tak że ja byłem kryty, że nie udzielam żadnej pomocy armii czerwonej. Oni chodzili po cywilu, nie mieli mundurów. Ja ratowałem każdego. Nawet mandaryn czerwony poprosił mnie, żebym założył przychodnię podobną tam w górach, gdzie on miał swoją główną kwaterę. Założyłem. Tam też leczylimy wszystkich, którzy przychodzili. To potem poniekąd mi się przydało. Jednak musiałem dowozić z Shun-Teh-Fu lekarstwa, czyli przedzierać się przez kordon japoński i wracać do gór z tymi lekarstwami, ratować ludzi rannych. Ale to było w ramach dobroczynności. Tu już nie wchodziła w rachubę żadna polityka, tylko dobroczynność. To się podobało Chińczykom, wszystkim, bezwzględnie czerwonym i nieczerwonym, że pomagam i ratuję wszystkich którzy są w potrzebie. Gdy Japończycy napadali, otwierałem ludziom bramy misyjne i ludzie mieszkali gdzie się dało, póki Japończycy nie przeszli. Ale pewnego razu – to już zdaje się było czerwonym za dużo – postanowili mnie aresztować...

Wiedziałem, że będą mnie aresztować, bo na moście tym, a tym będzie dwóch ludzi, którzy księdza ładnie zaproszą z wizytą do mandaryna. To jest jednak nic innego jak tylko aresztowanie księdza. Niech ksiądz idzie inną drogą.

Mogłem iść inną drogą, ale postanowiłem: jeżeli ja pójde inną drogą ominę ten most, to oni i tak mnie tam znajdą. I wtedy się będą pytać:

– Dlaczego nie szedłem normalną drogą, tylko gdzieś tam bocznymi drogami? Czyś się ty bał? A jeśli bał, to dlaczego?

No to już podejrzenie pada. Ja pójde tą samą drogą jak przyszedłem w naszą okolicę, a niech będzie co chce.

I rzeczywiście na moście dwóch ludzi ładnie się ukloniło i poprosiło żebym wstąpił do mandaryna na herbatę. Zajechałem tam. On odebrali mi wszystko, cały mój bagaż wzięli w swoje ręce. Mojego towarzysza, Chińczyka, też osobno zabrali. Mnie dali jeden pusty pokój, no i tak czekam i czekam, co to będzie. powiedzieli wyraźnie:

– Odpowiedz na te pięć pytań, to cię puścimy na wolność. A jeżeli nie odpowiesz, to cię nie puścimy.

A to były pytania politycznej natury, bardzo łatwe do odpowiedzenia. Mianowicie: jeżeli Włosi byli z Niemcami i Japończykami, no więc czy my jako podlegli Ojcu św., który jest Włochem, który ma swoją stolicę w Rzymie, we Włoszech, jesteście też zdrajcami państwa, jesteście na jego łańcuszku?

Więc mu powiedziałem:

– To są dwa miasta. Jedno się nazywa Rzym, drugie się nazywa Watykan. Watykan jest oddzielnym państwem, samodzielnym państwem i Watykan musi mieć swoją politykę, bo jest państwem.



波兰在中国遣使使命

Więc oni to uznali, że Watykan musi mieć stosunki z Japonią, bo w sam raz cesarzowi urodził się syn, oczekiwany długo i papież wysłał cesarzowi japońskiemu gratulacje z powodu narodzin jego syna. Więc to było kością w gardle u komunistów.

– To był tylko polityczny gest! Jako głowa państwa musiał to zrobić. To znaczy, że inaczej byłoby hańbą, byłby barbarzyńcą.

A Japończycy jak robią wypadki to oszczędzają katolickie domy, nie palą, nie niszczą, nie plądrują.

– Chodź ze mną, ja ci pokażę w najbliższej wsi domy katolickie z emblematami katolickimi na drzwiach – spalone doszczętnie, kaplica zrujnowana. Czy oni nie wiedzieli, że to jest katolicka kaplica, katolicki dom. I ty mówisz, że oni oszczędzają katolików, chrześcijan. Jak ty to rozumiesz?

A wy katolicy, wy nosicie medaliki i ten medalik starczy za przepustkę dla Japończyków. Gdy Japończycy widzą, że ktoś jest z medalikiem, to nie proszą go nawet o przepustkę, tylko go puszczają, gdzie chce iść.

Dobrze, ja ci dam taki duży medalik na wielkim łańcuchu. idź do Shun-Teh-Fu, tam do Japończyków. Jeżeli wrócisz z tą twoją głową na karku, no to mnie możesz zabić.

Na wszystkie pytania dałem zadawalającą odpowiedź. Ja się z tego cieszyłem, ale oni jeszcze nie byli zdecydowani, czy mnie wypuścić, czy nie wypuścić. Więc telefonowali do wyższej komendy. I ta wyższa komenda – słyszałem jak się pytają: „czyście znaleźli coś kompromitującego w jego bagażu?” Przeglądali prawie, że każdą stronę w brewiarzu, przeglądali wszystką moją bieliznę. W bagażu nic kompromitującego nie znaleźli. Mnie uważali za szpiega.

– Czyście znaleźli coś ujemnego w jego działalności?

– Posłaliśmy specjalnego człowieka, żeby słuchał jego kazań, nic nie mówił zdrożnego przeciw socjalizmowi, naszemu systemowi.

– Czyście znaleźli coś w odpowiedziach na pytania?

Odpowiedzieli:

– Nie.

– To nie możecie go zatrzymać. Puśćcie go!

Więc mnie puścił. Ja w tej chwili na konia i do domu, do Ho-Sia. W drodze spadł deszcz i z tego powodu dostałem potem malarii, która mnie prześladowała przez lata i lata. To jest straszna choroba. Przychodzi taka trzęsionka, że człowiek nie może ustać na nogach. Trzęsie człowieka zimno nieskończone, a potem gorączka, człowiek majaczy, osłabienie wielkie, głowa boli. To jest męka ta malaria. Nie było w czasie wojny lekarstwa, aż wreszcie dostałem pewnego rodzaju zastrzyki, które jakoś pohamowały tę malarię. No, ale tylko pohamowały tak, że jest ona dalej śpiąca w mojej krwi. Stąd ja nie mogę teraz dać nikomu swojej krwi, bo jest malaryczna. Często teraz przy zaziębieniu ta malaria się powtarza. Właśnie ostatnio, gdy byłem w Rabce spadł śnieg w nocy. Rano do kościoła szedłem jeszcze w śniegu. Szybko szedłem. Zaziębiłem się i tej samej nocy tak mnie trzęsło zimno, że nie mogłem absolutnie skończyć brewiarza. Wskoczyłem do łóżka pod pierzynę. Wyrząłem się i dopiero potem mi to przeszło, nie było już tej gorączki, ale to mi się powtarza.

Więc nabawiłem się przy tym pierwszym aresztowaniu w Chinach malarii. Potem było też drugie aresztowanie. Nie tego samego roku, bo jeszcze mogłem jeździć tam i ówdzie. Dostałem nawet od komendy czerwonej armii żelazny glejt, że mogłem w promieniu 50 km poruszać się bez przeszkód. Byłem ostrożny w kazaniach,



波兰在中国遣使使命

rozmowach – tylko o religii, żadne sprawy polityczne. Nigdy nie mogli nic politycznego mi zarzucić. Ale pewnego razu było to na Boże Narodzenie, spadł śnieg (1943 czy 1944 rok, dokładnie nie pamiętam), przyjechałem do Ho-Sia by tam spędzić Boże Narodzenie. I pech chciała, że komuniści urządzili wiec w sąsiedniej wiosce, i mało kto na ten wiec przyszedł, bo padał śnieg. Gdy w Chinach pada śnieg, to ludzie nie wychodzą z domów; bo nie mają obuwia, mają tylko szmaciane łapcie. Jak im to przemoknie to się zaziębiają. No, ale tak się złożyło, że gdy ja tam pojechałem spędzić Boże Narodzenie, ludzie przyszli do kościoła mimo niepogody, i to z daleka. I tego nie mogli komuniści strawić, że oni ogłosili wiec i nikt się nie pokazał, a tu przyjechał „zamorski diabeł” i przyszli do niego, do kościoła.

Noc, ciemno, mróz!

– Spędzimy jeszcze jedna noc tutaj, a rano ruszymy do domu.

– Nie – powiadam – do rana mogą oni już dziesięć razy zmienić swoje zdanie. Jeżeli nam wolno wracać, to wracajmy natychmiast.

No i wybraliśmy się w drogę powrotną. Rzeki już były pokryte lodem, pokryte kamienie po których się chodzi, bo nie ma mostów. Wreszcie o świcie dobrnęliśmy do jednej wioski. Już daleko od tego sędziego, bliżej już naszej wioski Ho-Sia. Tam postanowiliśmy się przespać, bo już nam brakło sił. Wskazano nam na nocleg stajnię po owcach, bez okien, jedynie tylko były drzwi. Zimno! Nas było troje, bo w międzyczasie, tam gdzie mnie aresztowano, wysłano posłannika do trzeciej instancji z oskarżeniami, oczywiście zresztą fałszywymi. I ten, który doręczył ten list miał karabin, ale był chrześcijaninem. Więc jak nam ten mandaryn pozwolił wracać, ale nie dał przepustki, znaczyło, że nas w następnej wiosce aresztują. Więc zmusiliśmy tego żołnierza – chrześcijanina.

– Chodź z nami bo ty masz karabin.

On miał karabin, ale bez kulek, tylko na postrach. Mówimy:

– Chodź z nami, bo w ten sposób, ty będziesz dla nas ochroną i przewodnikiem, nie potrzebujemy się legitymować z dokumentów, których nie mamy.

On się zgodził i rzeczywiście przeprowadził nas przez te wioski. Nas nie zatrzymywali, nie żądali dokumentów, dlatego że on nas prowadził, może jak jeńców, czy jak tam. Później myśmy we trzech przyłożyli się do chińskiego łoża, a chińskie łoże to nie jest nic innego, jak tylko podniesiona glina z podłogi. Tam oni mnie wzięli w środek, a sami legli po bokach i ogrzewali mnie swym ciałem, i w ten sposób przespaliliśmy się do świtu. O świcie w drogę. Zaszliśmy do Ho-Sia, skąd nas trzy dni temu aresztowano. Ludzie się ogromnie cieszyli, że wróciłem cały, ale byłem wściekłe głodny. Zaraz zarżnęli koguta i tego koguta zjadłem na jedno posiedzenie. Małe to stworzenie kogut. W Chinach sam, tam wiele nie udziobie. Więc nowe oskarżenie, że jestem żarłokiem, że sam całą kurę zjadłem na jedno posiedzenie. Wywołało to takie oburzenie wśród komunistów, że postanowili mnie skazać na banicję. „Nie wolno ci tu więcej się pokazywać, musisz stąd uciekać”. Moją własną misję, gdzie przez tyle lat pracowałem musiałem opuścić. Dobrze. Opuściłem ją tylko na chwilę, bo potem znowu powróciłem. Ale pech chciał, że Japończycy zrobili wypad w góry i przyszli tak daleko, że aż do mojej wioski (godzina drogi marszu z głównego miasta). Jak mnie tam zobaczyli, zrobili wielkie oczy.

– Ty musisz być komunistą, skoro ty mieszkasz z komunistami (jedenaście lat mieszkałem z komunistami).

– Ty musisz z nimi współdziałać, bo inaczej oni nie pozwolili by ci tutaj mieszkać.

– Mnie dwa razy aresztowali.

– To nic.



波兰在中国遣使使命

Wsadzili mnie do takiego więzienia, pokoju, gdzie były tylko cztery ściany i miotła w kącie. Było lato. Ja byłem tylko w lekkiej sutannie z surowego jedwabiu. Oni o mnie zapomnieli, nie przynosili mi pożywienia. Kulisi, niewolnicy, których Japończycy zmuszali do roboty, oni dzielili się ze mną tym co mieli, żeby nie umarł z głodu. Wreszcie jakoś doprosiłem się, żeby kapitan wziął mnie na przesłuchanie. Surowo i szczegółowo o wszystko wypytywał. Potem powiedział, że to wszystko jest niewystarczające.

– My cię nie możemy wypuścić!

I odmeldowali mnie do Shun-Teh-Fu, tam gdzie jest biskup, do głównej komendy japońskiej. Jak tylko tam zajechałem, to prosiłem Pana Boga, żeby nie spotkać się oko w oko z kapitanem policji japońskiej, którego nazywają wilkiem, z powodu tego, że miał taką kwadratową twarz.

Przesłuchanie. Japończyk, który koło mnie siada ma taką właśnie kwadratową twarz... Wilk. No to ja się dostałem w dobre ręce! Już cało nie wyjdę. Mało kto od niego wychodził cało. Identyczne pytania z pewnymi odchyleniami, itd. Ale trzymałem się w zeznaniach takich samych zdań, słowo w słowo jak odpowiadałem w komendzie, tam w górach. Na końcu, ten kapitan wstał i powiedział:

– To wszystko jest wierutne kłamstwo. Tyś nam nie powiedział, ani jednego słowa prawdy.

Nie wiem co się ze mną stało, ale wstałem, wyrzuciłem pięścią w stół i powiadam:

– Jeżeli ja skłamałem i te moje zeznania są nieprawdziwe to weź mnie pod murek i zastrzel mnie natychmiast. Jestem gotowy, ja się nie boję śmierci. Ale nie zmienię ani jednego zdania w tym co powiedziałem.

On wstał, ponownie zmierzył mnie oczami od stóp do głów i powiada tak:

– Skąd ta odwaga u ciebie?

Mówię tak:

– Panie kapitanie, choć jestem w stroju chłopskim, ale tu masz przed sobą człowieka z wykształceniem uniwersyteckim. Ja wiem co ja robię, co mówię i po co tu jestem. Wy Japończycy, których nazywają małymi ludźmi, wy mali ludzie, dajecie taką szkołę wielkim Amerykanom, że oni ciągle uciekają, a wy idziecie naprzód i naprzód. To wszystko polega na tym, że wy macie odwagę i ja też mam taką odwagę jako Polak.

To mu się spodobało. Podał mi rękę i mówi:

– Jesteś wolny. Możesz wracać po swoje manatki, ale... wynocha stamtąd. Wracać tutaj do Shun-Teh-Fu.

– Jeżeli mam wziąć swoje manatki, to muszę mieć glejt, inaczej to mnie tam wasi ludzie rozstrzela ją po drodze.

– Nie bój się!

Wsadzili mnie na ciężarówkę, odwieźli tak daleko jak tylko drogi prowadziły do gór, a potem pieszo poszedłem do domu. I tam siedziałem, i siedziałem, i siedziałem, aż coś się ze mną stało. Choroba, gorączka, osłabienie. Zjechałem do Shun-Teh-Fu do szpitala. Wszyscy doktorzy uznali, że coś jest nie w porządku, ale nie mogą odkryć skąd ta gorączka, skąd to osłabienie. Wzięli mnie do szpitala protestanckiego na prześwietlenie. Prześwietlenie wykazało, że mam płuca zajęte. Suchoty. W szpitalu trzymali mnie jeszcze jakiś czas, aż się podleczyłem. Doktor stanowczo zażądał, żeby mnie zmienić z tych ciężkich warunków w górach i dać mi łatwiejszą placówkę. No i biskup dał mi placówkę na równinach, nie tak daleko od Shun-Teh-Fu, gdzie były pszczoły, trzynaście uli pszczół. Miałem tam miód dzień i noc. Na każdy



波兰在中国遣使使命

posiłek miałem i miód, prawdziwy dojrzały miód. I tak się rozmyślałem w hodowli pszczół, że z tych trzynastu uli miałem potem pięćdziesiąt cztery. Ten dojrzały, prawdziwy miód wrócił mi zdrowie. Płuca się elegancko zasklepiły. Te pszczoły utrzymywały nie tylko mnie, ale i katechistów i katechistki tak, że miałem dwadzieścia dwie szkoły katechistyczne dzięki temu miodowi. Miód w Chinach uchodzi za lekarstwo. Wymieniałem miód za pszenicę, pięć funtów miodu za dwa funty pszenicy. To był złoty interes. Dzięki temu miałem pszenicę i pszenicą płaciłem ludziom pensję. I w ten sposób te szkoły katechetyczne mogły istnieć. To było kością w gardle dla komunistów. Postanowili temu dać kres. Nasłali tam, do tej wioski Ta-Sind-Hwang trzech speców komunistycznych, którzy mieli mnie obserwować i wszystko badać, całą moją przeszłość, wszystkie moje czyny; wszystkie posunięcia i zachowania się, itd. Po trzech miesiącach ja wiedziałem skąd oni są, bo zaraz mnie chrześcijanie przestrzegli. Oni przychodzili na dyskusje do mnie. Ja ich owszem, grzecznie przyjmowałem, ale nie zawsze znalazłem odpowiedź tak na stante pede, więc, żeby mieć czas na namyślanie się zacząłem używać papierosów. A musiałem papierosów używać, bo oni też palili; a jak ich częstowałem to oni nie chcieli wziąć papierosa, póki ja nie wziąłem pierwszy. Bali się, że jest zatruty. Więc zawsze brałem pierwszy papierosa, zapalałem go, dawałem im i ten dym mi pomagał, troszeczkę mi tak zasunął moją twarz, gdy byłem nieco zakłopotany. Wdychanie i wydychanie dymu dawało mi czas na znalezienie odpowiedzi i nic nie mogli zdroźnego we mnie znaleźć.

W grudniu na św. Franciszka Ksawerego, aresztowano biskupa i wszystkich księży w Shu-Teh-Fu przy biskupie. Biskup w więzieniu, siostra w więzieniu, inne siostry jeszcze na wolności. Biskup wydaje rozkaz: „*Uciekać kto może*”. A przedtem był rozkaz: „*Nie wolno pod żadnym pretekstem opuszczać żadnych placówek*”.

Dali mi znać, że ksiądz Szuniewicz nie został aresztowany, bo był gdzieś tam w przychodni zewnętrznej i on ucieka w stronę Ku-lu, gdzie ja byłem na pierwszej placówce. Myśli sobie, że ja ewentualnie za nim polecę, ale bałem się opuszczać tę placówkę dlatego, że jak mnie chwycą, to będzie jeszcze gorzej.

Dlaczego ja uciekam? Ale tego samego dnia, którego byłem zmuszony opuścić to miejsce, ci trzej przyszli do mnie z ostatnią wizytą. Wtedy mi powiedzieli jasno w cztery oczy:

- Ty na pewno wiesz kim my jesteśmy.
- Wiem, od samego początku.
- Dobrze. Sądzimy, że nie jesteś na tyle niemądry, że zgodzisz się na to, że my oddamy nasze trzy głowy za twoją jedną głowę (czyli już był wyrok śmierci na mnie).
- Urządzimy wiec sądowy.

Przyprowadzili wszystkie niewiasty, żeby mnie oskarżały. Każda musiała oskarżyć, jeżeli nie oskarży, nie wypuszczali z tego wiecu. Dzieci płakały, krzyczały (oni kazali przyjść matkom z dziećmi, żeby te dzieci „pomagały” niewiastom oskarżać mnie). Oskarżały mnie banalnie, że byłem apodyktyczny, albo że czasem nie dałem miodu jak one chciały. No więc to im nie starczyło. Postanowili zrobić drugi wiec i sprowadzić takich pół dzikich górali, trenowanych już w sądzie skazańców, i którzy mogli wywołać taki wielki tumult, że ludzie się rzucają na winowajcę i rozdierają go w kawałki. I to mi powiedzieli poganie: „Księżu, ci górale tak ludzi podburzają, że skazańca zlinczują na miejscu”. To w to mi graj! Męczeństwo, toż to najprostsza droga do nieba.

Tak powiadają chrześcijanie:



波兰在中国遣使使命

- Dla kogo tu ksiądz przyjechał?
- No dla was, żeby wam pomagać w zbawieniu.
- Dobrze, ksiądz może umierać, ale czy nam ksiądz zaręczy, że po księdza śmierci biskup pošle innego księdza na twoje miejsce?
- Tego nie mogę zaręczyć.

To jeżeli ksiądz nie może zaręczyć tego, to idź teraz, opuść nas chwilowo, idź w strony spokojniejsze, a potem wróć i nam dalej pomagaj.

Kłęknieli przede mną. A jeżeli Chińczyk kłęknie z prośbą, nie wolno odmówić! Ja im nie odmówiłem. Kazali spakować rower i na rower tylko to co się bierze do chorego i wypchnęli mnie z domu. Na peryferiach wioski stała warta, która badała przepustki. Jak mnie widzieli, że ja jadę rowerem, to odwrócili się plecami, żeby mnie nie widzieć. Zajechałam do następnej wioski, jakieś dwanaście mil. Tam proszę o nocleg, bo było już ciemno. Oni zaczęli płakać. Boją się mnie przyjąć na noc. Jeżeli mnie przyjmą jako uciekiniera, to będą współwinni śmierci. Jadę do następnej wioski, gdzie była placówka misyjna, no i tam zastaję księdza, Chińczyka, który jechał w moją stronę, żeby mnie ostrzec, że mam natychmiast, z rozkazu biskupa opuścić to miejsce, że ksiądz Szuniewicz już wyjechał do Ku-lu. Ten ksiądz mówi:

– Ja też uciekam, więc uciekajmy razem w stronę Ku-lu, tam gdzie doktor Szuniewicz jest. Ale potem dowiedzieliśmy się, że ksiądz doktor Szuniewicz już opuścił to miejsce, zanim poszła pogóń, by go pochwyć. Nie było sensu tam jechać. Postanowiliśmy uciekać innymi drogami. A były dwie drogi – jedna prowadziła prosto do miasta, gdzie byli jeszcze żołnierze, załoga Czang-Kai-Szeka, czyli nacjonaliści. I tam też byli Amerykanie, którzy pertraktowali z komunistami (pośredniczyli między nacjonalistami, a komunistami). Albo druga droga przez bagna, mniej strzeżona, ale więcej niebezpieczna, bo bagna.

Obraliśmy kierunek bardziej trudny, przez bagna, bo mieli jechać z nami kupcy. Ale chodziło o to, żebyśmy mieli za wszelką cenę jakiś dokument, który by nas upoważniał do opuszczenia tego terytorium, a przejścia na teren zajęty przez wojska nacjonalistyczne. Więc ten ksiądz, sprytny Chińczyk, taki miał dokument, podpis z pieczętką samego mandaryna, tylko trzeba było wypełnić treść tego dokumentu. Więc mu powiedziałem wyraźnie:

– Księżę, ksiądz jest Chińczykiem i ksiądz się może posłużyć każdym innym dokumentem utożsamiającym ciebie, ale ja nie mogę podszyć się pod nikogo, bo mnie zaraz poznają, że ja nie jestem Chińczyk. Ja muszę tutaj grać w otwarte karty. Więc ten dokument, ty mnie daj i moje nazwisko będzie figurowało na pierwszym miejscu, a ty będziesz jako towarzysz, a raczej jako stróż. Myśmy uknuli następujący projekt: Jedziemy do Si-Cha-Chwang, po lekarstwo dla chorego mandaryna, po lekarstwo zagraniczne, które może dostać tylko człowiek, który się zna na tym jak ja na przykład. A on miał być jakby moim adiutantem, czyli nie tylko przyboczną strażą, ale zarazem stróżem moim, żebym przypadkowo nie zwiął na tamtą stronę. Więc ten ksiądz się najpierw opierał, nie chciał mi tego dokumentu odstąpić na moje nazwisko, tylko chciał koniecznie na siebie, bo w ten sposób on był kryty. Ale jeden z chrześcijan miał dwa dokumenty utożsamiające, identyczne. Jeden dokument opiewał, że był ranny w walce z Japończykami i ten dokument był dla niego zbyteczny już, bo Japończyków nie było. Więc mówię wobec tego:

– Niech on ten dokument odstąpi tobie księżę, a ty swoje nazwisko dostosuj do dokumentu tego pana. Tylko musisz wynaleźć gdzieś na swoim ciele jakąś bliznę.

On mówi:

– Mam na nodze jakąś bliznę, po jakimś tam strupie.

– No to dobrze, to będzie dowód, że tyś był ranny, jakby już doszło do oględzin.



波兰在中国遣使使命

Więc napisaliśmy na dokumencie moje nazwisko, chińskie oczywiście i jedziemy do Si-Cho-Chwang po lekarstwo dla chorego mandaryna. To miała być tylko przepustka. Ale w dokumencie był podstęp, jak ten podstęp wykryją, to my jesteśmy skończeni. Jeżeli nie wykryją tego podstępu w dokumencie to wyjdziemy cało. Napisaliśmy ten dokument na moje nazwisko, a on mając dodatkowy dokument od tego Chińczyka, który był ranny figurował jako mój anioł stróż ze strony czerwonej armii. Rano mieliśmy jechać. Ale ci kupcy zmienili swoje zdanie. Przerazili się, że oni przeprowadzą nas przez te bagna, a my wpadniemy to i oni wpadną. Więc oni powiedzieli, że nie pojedą, że kiedy indziej pojedą. Musieliśmy teraz zmienić plan.

Nie mogliśmy przez bagna jechać, bo nie znaleźliśmy w ogóle kierunków. Musimy jechać drogą prostą, gościńcem uczęszczanym przez armie czerwoną, i przez wsie, gdzie są i każdy przechodzień jest rewidowany dokładnie, a zwłaszcza badane są jego dokumenty. Ruszyliśmy w drogę szlakiem głównym, prostym, a puściliśmy bajkę, że wybraliśmy się przez bagna, żeby zmylić ewentualnie pogoń. I rzeczywiście Pan Bóg był z nami. Tego dnia myśmy rano opuścili wieś, po mszy św. Było mgliście i zanosilo się na śnieg. A było bardzo zimno, tak że nie tylko nie było straży na drogach, które rewidowały dokumenty, ale nawet psy nie wychodziły z budy i nie czekały. A nam o to chodziło, żeby nas nikt nie widział, jak my będziemy przez te ludne wsie przejeżdżać, bo w razie pogoni zaraz wpadną na nasz trop. I rzeczywiście, gdyśmy już opuścili te okolice, gdzie nas ludzie mogli znać i rozpoznać, pogoda się zmieniła na lepsze. I już idziemy, idziemy prosto. Po drodze spotykamy oczywiście żołnierzy, ale tych wcale nie obchodzi co inni robią. Oni też uważali nas za agentów komunistycznych, bośmy tak byli ubrani. Żołnierze nas wcale nie indagowali, tylko baliśmy się tych posterunków przy wejściu do wsi, albo przy wyjściu. Omijać wsie jeszcze gorzej, bo wtedy jak się omija, a oni to zauważą, to jest dokładne badanie. Szliśmy jednak prosto lwu w paszczę.

W jednym miejscu przechodzimy koło miasta. Mój towarzysz chciał tam wstąpić, żeby się pokrzepić jedzeniem, a ja mu mówię:

– Lepiej nie chodź przez miasto, jest droga obok miasta, droga normalna, uczęszczana przez innych, możemy śmiało tą drogą iść.

I szczęście, żeśmy nie wjechali do tego miasta, bo tego dnia była jakaś łapanka. Wpuszczali każdego, ale nikogo nie wypuszczali. Więc zostalibyśmy tam przechwyceni, może na amen. Musieliśmy przekroczyć rzekę. Na szczęście, jeszcze, była kładka. Idziemy. Na brzegu, u góry stały dwie niewiasty na posterunku z karabinami. Zawsze baliśmy się posterunków niewieścich. Mężczyźni jakoś byli względni, ale niewiasty chińskie były absolutnie surowe i wymagające. One przedtem były niczym, były w niewoli, w niewoli mężczyzny, miały też nogi związane, tak że im nawet nie wolno było chodzić daleko. Teraz czerwoni dali im władzę wielką – karabin do ręki. One ogromnie wbiły się w pychę, stały się butne, dumne, nieustępliwe.

Raz w tamtej mojej wiosce, Ta-Sing-Chwang, gdzie miałem pszczoły, przyszli komuniści, paru żołnierzy, żeby mnie przyprowadzić na komendę. Chcieli mnie aresztować. No, jak po chińsku, zawsze się ich witało uprzejmie, częstowaliśmy ich herbatą i miodem i papierosami gdyśmy rozmawiali. To ich rozbijało i potem nie mieli śmiałości mnie aresztować, i wracali z pustymi rękami. Więc najgorzej jak przyślą niewiasty z karabinami, by aresztować, wtedy one są surowe! Wtedy nic nie chcą, nie chcą ani papierosów, ani herbaty, ani niczego. Ale na szczęście nigdy się to nie zdarzyło, o co Pana Boga prosiłem, żeby one nie weszły mi w drogę.



波兰在中国遣使使命

Więc tu widzę niewiasty stoją na posterunku. To źle. Zbliżam się do nich pierwszy, a one w płacz... Chrześcijanki z wioski niedaleko. Więc jak one zaczęły płakać i pozdrowiły mnie słowem „Szen fu” – księżę, to już nie miałem obawy, że przejdę ten posterunek. Więc powiadam:

– Ja chcę iść do waszej wioski. Tam jest kościół, tam są księża, tam chcę spocząć i odprawić rano mszę św. A one mówią:

– Księżę, już kościół zajęty przez armię czerwoną, księża są rozpędzeni.

Więc idę dalej. Spotykam młodzieńca. On też mnie pozdrowił. Chrześcijanin. I mówię:

– Wskaż, gdzie tu mogę spędzić noc, bo już jestem śmiertelnie zmęczony.

A on zaczął płakać. Czyli znowu nikt się nie odważy nas przyjąć na nocleg.

– Więc powiedz mi przynajmniej, gdzie jest jakaś misja, gdzie jest jakiś ksiądz, gdzie mógłbym rzeczywiście spędzić noc.

A on mówi:

– Tam jest wioska i tam jest kapliczka, tam też jest ksiądz, Chińczyk, który ma brata w armii czerwonej i ten ksiądz jest w dobrej komitywie z armią, więc on na pewno was przyjmie, on się nie boi czerwonych, bo sam nosi odznakę czerwonego. Ale radzę wam byście nie szli drogą wprost przez wieś. W jednym miejscu w murze zauważycie otwór, przejdźcie przez ten otwór, najbliższy dom, to jest właśnie ta kapliczka i tam jest ten ksiądz.

I tak zrobiliśmy. Była już noc. A więc pozdrowiłem go po łacinie „Salve Pater”. I powiadam po łacinie, że mój towarzysz jest kapłanem, ale udaje, że jest komunistą, więc odpowiednio go traktuj, traktuj go jako towarzysza, nie jako kapłana. No więc gościnność chińska: zaraz herbatka i kolacja, no i rozmawiamy w czasie kolacji o tym i owym. W pewnym momencie słyszę tuż za moimi uszami, że jeden z tych słuchaczy, czy obecnych zrobił uwagę, mówi:

– Towarzysz tego zamorskiego księdza, to prawdopodobnie nie jest komunistą, bo się przeżegnał przy jedzeniu.

Jak to posłyszałem, momentalnie zwróciłem się po łacinie do gospodarza, ale mówię do mego towarzysza, po łacinie:

– Jesteś podejrzany, boś się przeżegnał przy jedzeniu, zrób coś, żeby to zatrzeć.

Więc rozmawialiśmy, rozmawialiśmy swobodnie, no i zesliśmy w mowie na ton krytycyzmu. Mój towarzysz skorzystał z tego momentu, wyskoczył na środek izby, rznął pięścią w stół i mówi:

– Jak nie przestaniecie tak mówić o naszym ustroju, to was wszystkich tu aresztuję.

Cisza... A więc to jest na pewno komunistą, to jest pierwszej klasy komunistą, ten mój towarzysz. Zatarliśmy te podejrzania, ale ponieważ byliśmy zmęczeni mówimy gospodarzowi:

– My idziemy spać, ale jutro o świcie musimy wstać, odprawić mszę św., może ostatnią i dalej w drogę.

O świcie mój towarzysz zaczął odprawiać mszę św. pierwszy. O świcie jednak ludzie gromadzą się normalnie na modlitwy poranne. On tu jeszcze przy ołtarzu, a ludzie pukają do drzwi, bo chcą wejść do kaplicy. A myśmy tam spali w nocy. Ponieważ tam nie ma okien szklanych, tylko jest papier, widzę, że ktoś tam sobie palcem dziurkę w tym papierze robi i widzę źrenicę oko w tej dziurce. Ktoś się patrzy i widzi przy ołtarzu, że mój towarzysz, komunistą jest w ornacie. Wobec tego już



波兰在中国遣使使命

teraz nie można taić. Więc otworzyłem drzwi, ale pokazałem im pięść, palec na usta i pięść. I to im się spodobało: „Nie piśniemy ani słówka!” Ja też odprawiłem mszę św. Wtedy jeszcze nie można było odprawiać mszy koncelebrowanej. Po śniadaniu ludzie do nas bardzo życzliwie się ustosunkowali i powiedzieli nam, którą drogą jechać przez które wsie przejechać, jak ominąć pola ewentualnie podminowane. Jak mój towarzysz dowiedział się o polach podminowanych nigdy nie chciał jechać pierwszy, zawsze mnie wypychał rowerem pierwszego. Co robić? Albo – albo. Ja tylko patrzyłem, czy ziemia jest udeptana, czy nie jest naruszona. Więc jechałem powolnie, powolnie i ostrożnie i przejechaliśmy to rzekomo podminowane terytorium szczęśliwie. Jeszcze została jedna wioska. Oni nas przestrzegali, że w tej wiosce jest komunista, który bardzo surowo rewiduje dokumenty i jest taki skory, że ma przydomek „Tygrys”. Już minęliśmy tę wioskę i ten ksiądz mówi do mnie:

– Deo gratias!

Powiedział to, a z dziury po wykrocie drzewnym powstaje postać. Jak on wstał, tak powiada:

– Stać!

Więc ja zaraz z góry na niego:

– A ktoś ty jest?

– A ktoś ty jest?

A ja mu mówię:

– Tam już jest granica wojska nacjonalistycznego, to wiem kto jest. Ale ktoś ty jest?

A on mówi:

– Tygrys.

Więc już obiema nogami zszedłem z roweru. Będzie teraz oprawa! Ale jest świt, jeszcze nie bardzo jasno. On żąda dokumentów, ale nie zbliża się do nas tylko jest w pewnej odległości. Karabin ma jednak gotowy do strzału. Posłałem tego mojego adiutanta z tym dokumentem, żeby mu pokazał, tylko prosiłem Pana Boga, żeby on nie odróżnił tego małego tam triku. Wreszcie zwiija ten dokument i oddaje w ręce mojego adiutanta. Tak wolno zwiija, że mnie się zdawało, że on wykrył nasz fałsz. A teraz mówi do tego adiutanta:

– A ty kim jesteś, jaki ty masz dokument?

On się wylegitymował, powiedział, że walczył z Japończykami, został ranny i tu ma dokument. Chwyciło.

I jeszcze nas ostrzegł jak jechać, gdzie te dokumenty ukryć, żeby potem w powrotnej drodze móc je odzyskać.

Tośmy Panu Bogu już teraz mówili Deo gratias! Z całego serca! Jak tylkośmy się oddalili od tego pana w tej chwili pozdzieraliśmy z siebie odznaki komunistyczne i wjechaliśmy na terytorium wojsk nacjonalistycznych. Tam nie robili nam żadnych kłopotów. A już z góry wiadomo, że każdy Europejczyk w Chinach jest lepiej traktowany. I zajechałem na misję. Tam się dowiedziałem, że biskup jest dalej w więzieniu i nie prędko z więzienia wyjdzie. Dowiedziałem się o księżach, jak się z nimi obchodzą... itd. Więc co robić? Jechać dalej na północ? Do Pekinu już się nie dało, bo armia czerwona okrążyła miasto i przecięła linię kolejową do Pekinu. Już się nie dało jechać pociągiem. Była jedyna możliwość – tylko samolotem. Ale tam lądowały tylko samoloty amerykańskie, dowożące żywność do tzw. TIM – była to grupa Amerykanów wysłana przez rząd amerykański, która miała pośredniczyć między komunistami, a nacjonalistami, żeby się dogadać. Ale się nigdy dogadać nie mogli. Nigdy tak, że ci Amerykanie byli zupełnie zniechęceni. „Niemożliwe jest



波兰在中国遣使使命

dogadać się” – mówili. Mieli namacalne dokumenty, że komuniści nie dotrzymali przyrzeczeń, lecz oni się zapierali. Amerykanie byli wściekli.

Po trzech miesiącach przyjechał biskup z więzienia, przyjechali inni księża, przyjechały siostry i Amerykanie postanowili nas zabrać do Pekinu, wywieźć z tamtego miasta, pod warunkiem, że między naszymi ludźmi, białymi obcokrajowcami, będzie obywatel amerykański. Jeżeli nie będzie Amerykanina, to oni nie mają prawa nas wypuścić. W tym mieście była misja protestancka – amerykańska i angielska. Myśmy wiedzieli, że jedna z Amerykanek nie wyjechała, bo została poddana sądowi komunistycznemu. Nie wiedzieliśmy tylko, czy ona przyjechała do Shun-Teh-Fu czy nie. Aleśmy kombinowali, że jeśli wypuścili biskupa i księży, to może i ją. Więc wysłano mnie do tej protestanckiej misji, by tam zaciągnąć języka, czy ona przyjechała, czy jej nie ma. Zajechałem rano w czas. Dzwonię, a ona otwiera mi drzwi. Powiedziałem, że jest okazja do opuszczenia tego miasta amerykańskimi samolotami, pod warunkiem, że ona jest Amerykanką. Ona ręce złożyła z podziękowaniem i mówi:

– Księżo, ja tutaj się modliłam od świtu. Na klęczkach byłam przez cały czas, modliłam się o wyratowanie. Widziałam, że nie ma ratunku. Ksiądz przyszedł i mówi, że samolot odlatuje.

Więc dobrze. Zaraz nadaliśmy telegram do Pekinu i Amerykanie przystali samolot, wzięli ją, a z nią wszystkich innych księży.

Pierwszy raz w życiu leciałem samolotem. To był bombowiec przerobiony na samolot pasażerski. I tak dostaliśmy się do Pekinu. Tam wynajęliśmy dom i postanowiliśmy doczekać do końca wojny i ewentualnie wrócić do Shun-Teh-Fu.

Tymczasem wojna przeciągała się, coraz więcej postępów robili komuniści. Wreszcie nacjonałści przegrali. Więc nie było innej rady, jak tylko jechać na południe do Szanghaju i na okręt. No i po paru miesiącach czekania w Pekinie wyjechaliśmy do Szanghaju. Stamtąd prowadziły nas różne drogi. Jedni księża postanowili pojechać do Australii – tam pojechał ks. Sojka, ks. Czapla, ks. Trzeciak. Inni pojechali do Polski: ks. Kotliński, ks. Skowyra. Ja chciałem jechać do Brazylii. Mnie jednak biskup radził, żeby tam nie jechać:

– Nie jedź do Brazylii. Tam jest taki brak księży i takie zapotrzebowanie na księży, że z chwilą kiedy się zaaklimatyzujesz w Brazylii oni cię już nie wypuszczą do Chin z powrotem. Jedź do Ameryki, podleczone swoje zdrowie, wypoczniij sobie i potem wrócimy do Chin dalej pracować.